

Człowiek i jego złożony świat

⇒ [Małgorzata Muraszko, redaktorka naczelna](#)

To była dwunasta, i dwunasta udana, edycja festiwalu Literacki Sopot. Każdy festiwal jest inny, porusza inną tematykę, dotyka innych problemów, ale i każdy jest do siebie podobny. Bo od wielu lat na pierwszym planie jest człowiek i jego relacje: z „innym”, ze społeczeństwem, z tożsamością, z historią.

Nie inaczej było i w tym roku. Adam i Dyba Lachowie w Kościele Zbawiciela opowiadali o swoim, niemalże niedostępnym już, albumie *Rewizje*, w którym przyglądają się Polkom i Polakom oraz ich relacji z krajem; Miłkołaj Grynberg opowiedział o książce *Jezus umarł w Polsce* poświęconej temu, co dzieje się na granicy, i jak szukający schronienia „inni”, migrant, traktowany jest przez drugiego człowieka. Temat ten świetnie uzupełniły dwie debaty, jedna z nich poświęcona antysemityzmowi i rasizmowi, druga o tym, kto jest sąsiadem, a kto wrogiem. I chociaż punktem wyjścia były rozmowy dotyczące polsko-niemiecko-żydowskiej historii, to jednak mocno rezonowały z tym, co dzieje się dziś nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Bo literatura, proszę państwa, nie funkcjonuje w próżni.

Fantastyczną literaturę do Sopotu przywieźli niemieckojęzyczni pisarze i pisarki. Jovana Reisinger w *Czempionkach* przygląda się współczesnym kobietom, Erica Fischer w *Aimee & Jaguar* opowiada historię zakazanej, intensywnej miłości Niemki i Żydówki, Zsuzsa Bánk poruszająco dzieli się doświadczeniem pożegnania z ojcem w *Śmierć przychodzi nawet latem*, a dziennikarz Harald Jähner znakomicie opisuje, co działo się w Niemczech między wojnami.

Sopot odwiedzili też, jak co roku zresztą, świetni polscy pisarze i pisarki. Ci z młodego pokolenia, debiutujący – m.in. Natalia Szostak, Szymon Opryszek, Dawid Iwaniec, Anna Goc czy Katarzyna Michalczak – ale i ci bardziej doświadczeni jak Zyta Rudzka, Włodzimierz Nowak czy Filip Springer. Były pokazy filmów, czytania dramatów i premiera słuchowiska. Słowem: atrakcji nie brakowało, a willa przy ul. Jakuba Goyki, siedziba Goyki 3 Art Inkubatora, stała się centrum festiwalowym z prawdziwego zdarzenia.

To był udany festiwal. W państwa ręce oddaję jego namiastkę. Zapisy audio spotkań dostępne są jako podcasty na kanale Goyki 3 On Air w serwisie Spotify, a zapisy wideo znajdują państwo na kanale Goyki 3 na YouTube.

Ten numer gazetki „Literackiej” przygotowali dla państwa: Magdalena Bojanowska, Klaudia Czaboryk, Filip Fierek, Paulina Frankiewicz, Julia Kapała i Dominika Prais. Życzę dobrej lektury i do zobaczenia za rok!

Uniwersalna esencja bólu

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

- To moja historia, mój rok żałoby, moja relacja z ojcem, która jest wyjątkowa, unikalna, ale myślę, że istnieje pewna esencja bólu, która jest uniwersalna, do której inni również mogą się odnieść - powiedziała Zsuzsa Bánk podczas spotkania w Sopocie.

Trzeciego dnia Literackiego Sopotu czytelnicy mieli okazję porozmawiać z Zsuzsą Bánk. Spotkanie wokół książki *Śmierć przychodzi nawet latem* (tłum. Elżbieta Kalinowska, wyd. Czarne) poprowadził Marcin Wilk.

To tekst, który przyszedł do mnie

Już na początku rozmowy Zsuzsa Bánk zdradziła, że miała wątpliwości dotyczące swojej najnowszej książki. – Zastanawiałam się, czy naprawdę chcę o tym pisać, czy chcę to z siebie wyrzucić, czy chcę, żeby ludzie to o mnie wiedzieli – wyjawiła. – To tekst, który przyszedł do mnie. Ja go nie szukałam, on nie jest wymyślony. Pierwszy raz w życiu nie jest to fikcja, tylko coś, co się wydarzyło, co chciałam wyrazić literacko. Chciałam znaleźć słowa, aby wytrzymać ten temat – tłumaczyła pisarka.

Jak dodała, jest to książka pożegnalna. – Z jej pomocą żegnam się z moim ojcem, który zmarł latem 2018 roku. Napisałam ją w pierwszym roku mojej żałoby. To książka o umieraniu, pożegnaniu, wściekłości i smutku. Ale nie jest ona tylko o żałobie. To taki album rodzinny



Zsuzsa Bánk w rozmowie z Marcinem Wilkiem. Fot. Bogna Kociumbas-Kos

– powiedziała Bánk. W *Śmierć przychodzi nawet latem* czytelnicy i czytelniczki poznają historię jej rodziców, ich pochodzenia (w 1956 roku uciekli z Węgier do Niemiec).

Esencja bólu

Marcin Wilk zapytał swoją rozmówczynię o jej tożsamość pisarską. – Decyzja, żeby opuścić świat wyobraźni i przejść do świata rzeczywistości, była dla mnie wielka, poważna. Wymagało to przewyciężenia siebie i odnalezienia pewnej śmiałości. Zawsze świetnie ukrywałam się za moimi książkami. Ja piszę dużo, długie powieści, i zawsze wychodziłam z założenia, że tak naprawdę czytelnik niczego się o mnie nie dowiaduje albo bardzo niewiele i tylko między wierszami – podkreśliła.

Dodała, że jej najnowsza książka jest o niej i była dla niej „nowym zadaniem”. – Lubię książki, których tematem jest strata, śmierć – powiedziała i nawiązała do *Roku magicznego myślenia* Joan Didion. To książka, która również opowiada o żałobie, tyle że po śmierci męża. – Didion opisuje pierwszy rok żałoby, w czasie którego wyobraża sobie, że on mógłby wrócić. To książka, która mnie fascynuje. Pomyślałam, że może ja też będę umiała coś takiego zrobić. Może potrafię wziąć coś z rzeczywistości i przetworzyć to w literaturę, opisać to tak, aby dla innych stało się to dostępne i żeby było wystarczająco uniwersalne, aby inni mogli się w tym odnaleźć. To moja historia, mój rok żałoby, moja relacja z ojcem, która jest wyjątkowa, unikalna, ale myślę, że istnieje pewna esencja bólu, która jest uniwersalna, do której inni również mogą się odnieść. Taki był mój cel, żeby udało mi się to zrobić – stwierdziła gościni Literackiego Sopotu.

Mała granica, której nie można przekroczyć

Zsuzsa Bánk opowiadała również, jak wyglądała sama praca nad książką. Jak podkreślała, robiła notatki z tego, co się wydarzyło – przypominało więc to nieco pracę reportażysty. – Miałam w sobie taką ostrożność, żeby nie stać się zbyt intymną, aby nie zdradzać zbyt wiele, żeby nie zdradzać wszystkiego – wyjaśniła. Nie chciała przedstawiać m.in. wszystkich szczegółów choroby ojca. – Zawsze miałam z tyłu głowy myśl, żeby pisać tak, aby mógł to przeczytać mój tata, aby nie było to dla niego bolesne czy nieprzyjemne. To była moja mała granica, której nie chciałam przekroczyć – powiedziała.

– Nie chodzi tylko o chorobę czy pożegnanie, chciałam też wykorzystać tę okazję, żeby opowiedzieć historię naszej rodziny. Jedną z typowych europejskich historii XX wieku, o podziale między Wschodem a Zachodem, o żelaznej kurtynie, ucieczce na Zachód, o tym, jakie traumy pozostawiło to na resztę życia. Te małe obrazki też chciałam pokazać – wyjaśniła niemiecka pisarka.

Po wszystkim przyszła ogromna pustka

Na koniec spotkania Marcin Wilk zapytał Zsuzsę Bánk, czy po tak osobistej książce, jaką jest *Śmierć przychodzi*

”

*To moja historia,
mój rok żałoby, moja
relacja z ojcem, która
jest wyjątkowa,
unikalna, ale myślę,
że istnieje pewna
esencja bólu, która
jest uniwersalna, do
której inni również
mogą się odnieść.*

nawet latem, kolejne teksty pisze się już inaczej. – Kiedy piszę książkę, to myślę, że nigdy nie będę mogła już niczego napisać. Zawsze myślę, że to moja ostatnia książka, że nigdy się już nie zdobędę na to, aby znowu usiąść do biurka – stwierdziła. Po kilku miesiącach jednak okazuje się, że chce dalej pisać, podjąć kolejny temat.

Pisarka podkreśliła, że po napisaniu tej ostatniej książki odczuwała wielką pustkę. – Długo trwało, zanim – dzięki wewnętrznej dyscyplinie – powiedziałam sobie, że znowu siadam do biurka i zajmuję się nowym tematem. Było jasne, że musi to być tekst czysto fikcyjny, kreatywny – dodała i zaznaczyła, że obecnie pracuje nad powieścią, która zaczyna się na Węgrzech. – W czasie II wojny światowej, potem są lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte. Widzę, jak ważna dla moich książek stała się generacja moich rodziców jako świadków czasu. Mogłam wypytywać mojego ojca o tyle rzeczy, że nie musiałam później robić wielkiego researchu. Chciałam wiedzieć, jak wtedy usuwano śmieci, czy było połączenie z miasta jednego do drugiego, gdzie kupowało się bilety – mnóstwo szczegółów z życia codziennego, których mogłam nie poznać – opowiedziała.

– Teraz widzę, jak bardzo potrzebuję matki, która opowiada mi o wielu szczegółach. Moja mama jest bardzo starą kobietą i wiem, że nie będę mogła wiecznie tego potencjału wykorzystywać, a ten wielki i ważny motyw, który pojawia się w moich książkach, czyli Węgry, prawdopodobnie zniknie wtedy, gdy zniknie ta generacja – stwierdziła Zsuzsa Bánk.

» [Spotkanie z języka niemieckiego przełożyli Agata Radtke i Marek Szalsza, a na PJM tłumaczyli Michał Drzewek i Magdalena Sipowicz. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na Kanale Goyki 3 na YouTube.](#)

Jak odczytywać historię, którą opowiadają przedmioty?

⇒ [Julia Kapała](#)

Rzeczy, tak jak ludzie, mają swoje biografie – tymi słowami Beata Maciejewska rozpoczęła debatę o znaczeniu przedmiotów.

Na Kanapach w Państwowej Galerii Sztuki obok dziennikarki i historyczki Beaty Maciejewskiej zasiedli pisarz Stefan Chwin, antropolożka i bohemistka Karolina Ćwiek-Rogalska oraz Dariusz Brzostek – kulturoznawca i teoretyk literatury. W tegorocznej dyskusji o rzeczach jednym z głównych punktów odniesienia był temat Ziem Odzyskanych: ich transformacja, z którą rzeczy i przestrzeń publiczna zatraciły swoje pierwotne oblicze.

Gdy Beata Maciejewska opowiadała wiele anegdot z życia powojennego Wrocławia, Stefan Chwin podzielił się historią swojego dzieciństwa spędzonego w powojennym Gdańsku. Miasta naznaczonego, jak mówił, „rzezią rzeczy”, podczas której masowo usuwano niemieckie pozostałości z przestrzeni miejskiej, skuwano gotyckie napisy, zrywano przepiękne tłoczone tapety, pod którymi ukazywały się użyte jako podkład nazistowskie gazety. Chwin określił to mianem „rytualnego rewanzu” dokonanego przez straumatyzowaną ludność polską.

Czy przedmioty są nie do zniszczenia?

– Kiedy we Wrocławiu podejmowano próby usuwania wszelkich śladów niemieckości, okazywało się, że ta farba, którą zamalowywano napisy, nigdy nie była w stanie do końca ich zakryć, te przedmioty były nie do zniszczenia



O znaczeniach przedmiotów rozmawiają Beata Maciejewska, Stefan Chwin, Dariusz Brzostek i Karolina Ćwiek-Rogalska. Fot. Bogna Kociumbas-Kos

– opowiadała Beata Maciejewska. Powróciła kwestia Ziem Odzyskanych oraz nieczęsto omawiane poczucie tymczasowości u ich mieszkańców. Stefan Chwin opowiedział, w jakiej niepewności żyli mieszkańcy powojennego Gdańska, nie wiedząc, czy taki porządek zostanie na dobre i czy miasto faktycznie będzie wchodziło w granice Polski. To prowadziło, jak mówił, do pozwolenia na „samoniszczenie się” przedmiotów, ponieważ nikt nie był pewny, czy warto w ogóle o nie dbać.

Karolina Ćwiek-Rogalska zwróciła uwagę na ambiwalencję rzeczy – z jednej strony są bardzo kruche, ale potrafią też być bardzo trwałe. Takim przykładem jest szkło, które dobrze zakonserwowane potrafi przetrwać w ziemi wiele lat. Drugą ambiwalencją rzeczy jest jej zdaniem to, że wcale nie muszą faktycznie istnieć, a mogą funkcjonować w naszej świadomości niczym duchy, którym można przypisywać nowe znaczenia.

Przedmioty jako widma przeszłości

Goście Beaty Maciejewskiej podjęli też temat rzeczy przeklętych, czy jak je określono – rzeczy diabła. Stefan Chwin po raz kolejny przytoczył historię z powojennego Gdańska, gdzie na targu w Oliwie handlowano nazistowskimi pamiątkami, a wśród stoisk jeździli na wózkach kalecy wojenni. – To było cenniejsze niż wszystkie Rosenthale – dodał ironicznie.

Przedmioty, o których wspominał pisarz, zostały uznane za przedmioty grozy, co narzuciło kolejne pytanie w debacie: czy warto pozbywać się przedmiotów upamiętniających zło, takich jak na przykład filiżanka ze swastyką, która zawieruszyła się w jakimś wrocławskim domu? – Z jednej strony powinny zniknąć z przestrzeni, ale czy jest to promocja nazizmu, czy po prostu świadectwo tamtych tragicznych czasów? – pytała prowadząca.

Profesor Brzostek tłumaczył, że w tej kwestii mamy do czynienia z estetyką oraz moralnością. Moralność podpowiada, że przedmiot taki należałoby zniszczyć, ale z drugiej strony jest pewnym świadectwem. Problem zaczyna się wtedy, kiedy te dwie kwestie odrywają się od siebie i dochodzi do „estetyzacji przemocy”, a te przedmioty stają się atrakcją. – Kiedy zamienia się to w spektakl, istnieje duży potencjał szkodliwości, ponieważ stanowi to pewną formę rozrywki – stwierdził.

Jak nie dać oszukać się rzeczom?

Ostatnie pytanie dyskusji dotyczyło zagadnienia transformacji rzeczy i przypisywania im nowych tożsamości. Beata Maciejewska zastanawiała się, na ile możemy im wierzyć, skoro nasza pamięć opiera się na rzeczach, ale przecież tak łatwo dowolnie je przerobić. Wierzymy rzeczom, a one nas oszukują. – A może to my oszukujemy rzeczy? – odpowiedziała pytając Karolina Ćwiek-Rogalska.

Tu pojawił się wątek recyklingu rzeczy, który przeprowadzono na terenach Czechosłowacji po wysiedleniu Niemców. Za przykład badaczka podała pomniki z czasów I wojny światowej, które w latach sześćdziesiątych były przerabiane na masową skalę. – W taki sposób te przedmioty mogą opowiadać kilka historii naraz – dodała gościni.

» [Spotkanie na PJM tłumaczyli Michał Drzewek i Magdalena Sipowicz. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na Kanale Goyki 3 na YouTube.](#)

Literackie starcie z patriachatem

⇒ [Filip Fierek](#)

Lektura *Czempionek* niemieckiej pisarki Jovany Reisinger prowokuje pytanie o rolę literatury w sferze tego, co polityczne.

Czempionki (tłum. Zofia Sucharska, wyd. Marpress) Jovany Reisinger najłatwiej jest opisać poprzez temat, który podejmują. Powołując do istnienia szeroki katalog kobiecych postaci, które mierzą się z nierównościami i wykluczeniem, niemiecka autorka idzie na bezpośrednie literackie zwanie z patriachatem. Każda z jej bohaterek, zastając rzeczywistość opartą na niesprawiedliwości, stara się wpłynąć aktywnie na swój los, podważyć obowiązujący ład albo po prostu stawiać czoła życiowym wyzwaniom.

Wściekłość na mizoginię

W czwartek w Państwowej Galerii Sztuki autorkę *Czempionek* o zamysł stojący za tą powieścią, strategię pisarską i dalsze plany artystyczne pytała Natalia Prüfer. Reisinger przyznała, że motorem jej pisania jest wściekłość wywołana mizoginią i niesprawiedliwością społeczną. Tu właśnie, jak wynika z festiwalowej rozmowy, należy w przypadku niemieckiej pisarki upatrywać źródeł jej feministycznej prozy. Podczas spotkania pojawił się także wątek nieobecności lub niedostatecznej obecności w dyskursie publicznym ważnych dla kobiet tematów, takich jak doświadczenie poronienia, menstruacja czy przemoc ze strony mężczyzn.

Czempionki powstały w reakcji na ten brak, po to, by głos kobiet, których doświadczenia były dotąd wypierane i tabuizowane przez kulturę i społeczeństwo, został usłyszany.

Jaka jest rola literatury?

Taka motywacja i przyjęte z góry założenia – że funkcją *Czempionek* ma być wypełnienie luki w dyskursie – powodują jednak, że książkę czyta się w pierwszym rzędzie jako literaturę z tezą, napisaną w konkretnym politycznym celu, a zatem w ostateczności publicystyczną. Niemiecka pisarka konstruuje swoje bohaterki tak, by reprezentowały określone problemy zachodnich białych kobiet – od Tiny tkwiącej w przemocowym związku, przez Elle, która próbuje pogodzić się ze śmiercią męża, po pracującą w galerii sztuki Joy o homoseksualnej orientacji.

Lektura *Czempionek* prowokuje istotne pytanie o rolę literatury w sferze tego, co polityczne: czy twórczość powstająca jako manifestacja niezgody na niesprawiedliwy porządek świata może i powinna służyć jako doraźne narzędzie walki o zmianę, czy też – paradoksalnie – działa ona przeciwskutecznie, bo redukuje złożoność rzeczywistości do kilku zbyt prostych haseł?

» [Spotkanie z języka niemieckiego na polski przełożyli Agata Radtke i Marek Szalsza, a na PJM tłumaczyli Elżbieta Żurawska i Paweł Żurawski. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.](#)

”
Czempionki powstały po to, by głos kobiet, których doświadczenia były dotąd wypierane i tabuizowane przez kulturę i społeczeństwo, został usłyszany.



Jovana Reisinger ze swoją książką na stoisku wydawnictwa Marpress. Fot. Michał Algebra

Historia piękna i przerażająca

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

Dziewczyn z okładki zupełnie nie obchodzi, że po latach będziemy na nie patrzeć. Na zdjęciu uchwycone zostały ich ostatnie szczęśliwe momenty. *Aimée & Jaguar*: Lilly i Felice, nazistka i Żydówka. Ich historię spisała Erica Fischer, z którą festiwalową rozmowę przeprowadziła Aleksandra Zbroja.

Ich wojenno-miłosna historia rozpoczyna się w roku 1942 w Berlinie. Niemka Lilly Wust, mężatka i matka czwórki dzieci, poznaje wówczas 21-letnią Felice Schragenheim. Szybko łączy je intensywne uczucie. Mają wspólne plany, piszą do siebie, a nawet zawierają kontrakt małżeński. Dopiero po czasie Felice zdradza Lilly swoje żydowskie pochodzenie. Kobiety postanawiają kontynuować szaleny związek. Niestety, wspólne szczęście trwa jedynie półtora roku; w połowie 1944 roku Jaguar zostaje złapana i wywieziona do obozu koncentracyjnego Groß-Rosen. Nigdy

stamtąd nie wróci. Zmarła podczas jednego z Marszów Śmierci, prawdopodobnie w okolicach Bergen.

Kronikarka kobiecych romansów

Erica Fischer jest niemieckojęzyczną pisarką, tłumaczką i dziennikarką. Urodziła się w Anglii, ale jej rodzina pochodziła z Austrii. Znając podejmowane przez nią wcześniej tematy (kobięce romanse, żydowskie opowieści) i feministyczny światopogląd, zaproponowano jej pracę nad wspomnianą historią. Fischer wysłuchała więc opowieści 80-letniej Lilly Wust (dziś w tym wieku jest autorka książki). Rozmawiała również z żyjącą rodziną oraz przyjaciółmi bohaterek, analizowała dokumenty i listy. Książka ukazała się po raz pierwszy w niemieckiej Kolonii w 1994 roku. Co smutne i ciekawe, w Polsce wydano ją późno, bo dopiero w 2008 roku. Dzięki adaptacji filmowej Maxa Färberböcka (1999) historię Aimée i Jaguara poznał cały świat.

Szczególne okoliczności

Po drobiazgowym prześledzeniu losów obu kobiet Fischer nie bała się zabrać głosu. Tak pisze w przedmowie: „Jako Żydówka podchodzę do historii z pozycji Jaguara, nie potrafię być tak wyrozumiała jak wiele młodych kobiet odmawiających refleksji nad możliwą współwiną Aimée”. I dalej: „Zapotrzebowanie lesbijskich kobiet na wzorce i bohaterki, które tworzą niejako kontynuację ich własnej historii, jest tak wielkie, że często zanika krytyczny dystans do wydarzeń lat 1933–1945. Fakt, że jedna z bohaterek została zamordowana jako Żydówka, a nie jako lesbijka, a druga w Trzeciej Rzeszy nie była prześladowana za miłość do innej kobiety, niezbyt dobrze wpisuje się w wymarzony obraz lesbijskiego heroizmu”. O historii Lilly i Felice trafnie mówi się, że jest piękna i przerażająca zarazem.

Aimée & Jaguar ukazała się w 2008 roku nakładem wydawnictwa Czarne w tłumaczeniu Katarzyny Weintraub. Niewznawiana później, bywa dostępna w sprzedaży internetowej i antykwarycznej. Zdecydowanie warta lektury.

» [Spotkanie z języka niemieckiego na polski przełożyli Agata Radtke i Marek Szalsza, a na PJM tłumaczyli Elżbieta Żurawska i Paweł Żurawski. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.](#)



Erica Fischer. Fot. Michał Algebra

Kim są ci, którym nie daje się języka?

⇒ [Paulina Frankiewicz](#)

O dyskryminację, samotność, wolność i marzenia osób głuchych [Annę Goc, autorkę reportażu *Głusza* pyta Paulina Frankiewicz.](#)

Paulina Frankiewicz: Swoją książką przywracasz głuchym podmiotowość. Pokazujesz ich jako silną, walczącą o siebie społeczność. Zanim do tego przejdziemy, muszę spytać o najsilniejsze obszary wykluczenia osób głuchych i o to, jak Słyszaki postrzegają tę społeczność?

Anna Goc: Dyskryminacja i wykluczenie zaczynają się od niewiedzy o barierach komunikacyjnych, z którymi mierzą się głusi. Bycie osobą głuchą nie polega tylko na tym, że nie słyszy się dźwięków. Tu chodzi o coś znacznie więcej – o funkcjonowanie poza wspólnotą językową, do której należy większość. Głusi to duża i różnorodna grupa. Są głusi dwujęzyczni, którzy migają, znają język polski, uczą się kolejnych języków obcych. Ale są też głusi, którzy nie czytają ze zrozumieniem po polsku i głusi, którzy nie posługują się biegle ani polskim, ani migowym. Pytania o język – m.in. o to, czy można komuś zabrać prawo do własnego języka – pojawiły się już przy pracy nad pierwszymi reportażami o głuchych. I to one sprawiły, że zainteresowałam się tym tematem.

Tvoja książka jest poniekąd opowieścią o systemie edukacji. Po pierwsze tym sprzed lat, kiedy nie pozwalano migać, co należy nazwać narzędziem opresji.

Gdy pytam głuchych o obszar, który najpilniej wymaga zmian, odpowiadają, że jest nim edukacja. Nieprzypadkowo ubiegłoroczny raport Najwyższej Izby Kontroli nosi tytuł „Edukacja głuchych i słabosłyszących do reformy”. Wynika z niego, że 60 proc. nauczycieli pracujących dzisiaj w szkołach dla głuchych nie zna biegle polskiego języka migowego. Żeby zrozumieć dlaczego tak jest, trzeba cofnąć się o kilkadziesiąt lat, do szkół dla głuchych, w których miganie było zakazywane, a polski język migowy był uważany za język uboższy, gorszy. Wciąż wiele pokoleń pamięta czasy, gdy wstydzili się migać na ulicy. Ten wstyd wynieśli ze szkół.

Od publikacji *Głuszy* minął rok. Na spotkania wokół książki przychodzą także głusi, którzy dzielą się swoimi doświadczeniami szkolnymi. Opowiadają o pierwszym dniu w przyszłolnym internacie – wyznają, że nie wiedzieli dlaczego rodzice ich tam zostawili i czy po nich wrócą. Wspominają jak uczyli się mówić, choć nie słyszeli własnego głosu i odczytywali słowa z ruchu warg. Niewiele rozumieli z tego, co działo się na lekcjach, bo nauczyciele – zgodnie z metodą oralną – zwykle do nich mówili. Nie uczyli się też migać na lekcjach, bo PJM nie miał statusu przedmiotu. Przystawiali język dzięki rówieśnikom, którzy mieli głuchych rodziców i wynieśli migowy z domu.

A współczesna szkoła? Czy ona może przygotować osoby słyszące do budowania wspólnot, relacji z osobami głuchymi?

Bartosz Marganiec, jeden z głównych bohaterów *Głuszy*, mówi że głusi są „nienormalni”, „normalni, ale inni niż reszta”. Głusi czują się mniejszością językowo-kulturową i są dumni ze swojego języka. Nie chcą pomocy słyszających, tylko równych praw.

Szkoły dla głuchych się zmieniają, choć w różnym tempie. Inicjatorami tych zmian są często nauczyciele i dyrektorzy. Wielu z nich przyznaje, że gdy zaczynali pracę z głuchymi dziećmi, nie posługiwali się biegle naturalnym językiem osób głuchych, bo nie uczono ich go na studiach. W niektórych placówkach realizowane są założenia edukacji dwujęzycznej, o której systemowe wprowadzenie do szkół wciąż apeluje środowisko głuchych. Nauczyciele prowadzą lekcje po polsku albo w polskim języku migowym, w zależności od potrzeb uczniów. Chodzi o to – jak podkreślają eksperci i językoznawcy – by dać głuchym dzieciom język, który są w stanie przyswoić. Najczęściej tym językiem jest polski język migowy. A potem uczyć języka polskiego, jako drugiego. Wielu absolwentów tych szkół to dzisiejsi liderzy środowiska.

Nawiązując do tytułu twojej książki – głuszy jako odległości od ludzi, na myśl przychodzi izolacja, która oczywiście bywa wyborem, ale nieskończenie częściej jest przymusem. To opowieść o samotności.

Samotności także wśród najbliższych. Głusi opowiadali, że jako dzieci trafiali do szkoły dla głuchych i tam uczyli się migać, a potem wracali do rodzinnego domu, w którym nikt nie posługiwał się polskim językiem migowym. To wpływało na relacje z bliskimi. – Moja mama nigdy nie nauczyła się dla mnie migać – wyznawali. Można zapytać: jak to możliwe? Słyszący rodzice przyznawali, że idąc za radami ekspertów starali się zrobić wszystko, by ich głuche dziecko nauczyło się mówić i odczytywać słowa z ruchu warg słyszających, czyli żeby funkcjonowało jak słyszące. Są głusi, którzy dzięki wieloletniej rehabilitacji, dzięki aparatom, a w ostatnich latach także implantom, które bardzo zmieniają ich sytuację, żyją wśród słyszających. Ale są też głusi, którzy nie będą mówić. Pozbawianie ich możliwości migania to pozbawianie ich języka i kontaktu z innymi ludźmi.

Jesteśmy na festiwalu literackim, więc porozmawiamy o dostępie do kultury dla osób głuchych. Pytam o to również w kontekście tego, że wskazujesz szereg sytuacji i przestrzeni obiektywnie ważniejszych, w których nie ma tej wspólnej przestrzeni językowej – lekarz, szkoła, sąd. Uważam, że to świetnie, że otwieramy wydarzenia kulturalne na osoby z różnymi niepełnosprawnościami, ale w konfrontacji ze wspomnianym wcześniej brakiem widzę to jako swego rodzaju hipokryzję.

Tłumaczy i tłumaczek brakuje w instytucjach publicznych – w urzędach, na salach sądowych czy w gabinetach lekarskich. Wciąż się zdarza się, że głuche kobiety nie rozumieją poleceń lekarskich w czasie porodu, bo szpital nie zapewnił tłumacza. Głusi, którzy przeczytali książkę, przyznają, że niewiele ich w niej zaskoczyło, mają podobne doświadczenia. Nierzadko z tłumaczem można umówić się tylko online, bo na miejscu nie ma ani jednego. Bywa, że nawet w średniej wielkości mieście jest zaledwie kilka osób, które mogą podjąć się tłumaczenia.

„Jesteśmy niepełnosprawni tylko między słyszającymi” – mówi jeden z twoich bohaterów. Podjęty przez ciebie temat w naturalny sposób budzi empatię czy nawet współczuje, a głusi bynajmniej o nie nie zabiegają. Chcą być ważni, widoczni, słyszalni jako ludzie, nie jako głusi. Głusi między sobą nie czują się gorsi, czują się sobą. Czy ta nasza empatia ostatecznie nie pozwala nam lepiej myśleć o sobie niż służyć osobom głuchym?

„Nie pisz książki, żeby nam pomóc” – powiedział jeden z bohaterów *Głuszy*, gdy zaczynałam zbierać materiał. Jego wskazówka dużo mi dała. Zależało mi na tym, żeby spojrzeć na głuchych jak na mniejszość, która posługuje się innym językiem. Głusi opowiadają o wykluczeniu, ale robią to z silnej pozycji. Przez ostatnie kilka lat obserwuję, jak ich sytuacja się zmienia. Głównie dzięki głuchym liderom, którzy reagują za każdym razem, gdy potrzeby osób głuchych nie są brane pod uwagę. Nagrywają filmy w PJM z napisami po polsku, udostępniają je w mediach społecznościowych. Mogą zabrać głos w każdej sprawie. Nie potrzebują słyszających rzeczników, którzy będą mówić w ich imieniu.

» Na PJM tłumaczyli [Magdalena Sipowicz](#), [Michał Drzewek](#), [Kamila Skalska](#) i [Anna Łukaszewicz](#). Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify [Goyki 3 On Air](#) oraz w formie wideo na kanale [Goyki 3](#) na YouTube.

”

Potrzeba nam edukacji, która pokaże, że osoby głuche to nasi koledzy i koleżanki, którzy posługują się innym językiem, ale że to jest fajne.



Anna Goc w rozmowie z Iwoną Krawczuk, po prawej tłumacz PJM Michał Drzewek. Fot. Michał Algebra

Wk*rw daje energię

⇒ [Magdalena Bojanowska](#)

Przegadaliśmy całą noc. Ja nie byłem przygotowany na to, co tam usłyszałem. Po prostu znalazłem się na wojnie – powiedział Mikołaj Grynberg, wspominając pierwsze rozmowy z ludźmi, którzy pomagają migrantom na granicy z Białorusią.

Jednym z gości tegorocznej edycji Literackiego Sopotu był Mikołaj Grynberg. Spotkanie było poświęcone jego najnowszej książce *Jezus umarł w Polsce*. To zbiór rozmów z ludźmi, którzy w czasie kryzysu humanitarnego ruszyli na polsko-białoruską granicę, aby bezinteresownie pomagać uchodźcom.

„Paradoksalnie przez to całe zło, rozmawiamy o dobru”

Już na początku prowadząca Marta Perchuć-Burzyńska zauważyła, że na spotkanie z Mikołajem Grynbergiem przyszło tak wiele osób, że część z nich nie zmieściła się w Sali Kameralnej Teatru Wybrzeże. Sam pisarz stwierdził, że prawdziwymi bohaterkami i bohaterami tego spotkania są „ci, których spotkał na granicy”. – Ostatni miesiąc pokazał, że nie tylko ja potrzebowałem tej książki. Nie tylko ja potrzebowałem tego komfortu rozmawiania o tym. Nie daliśmy zapędzić się w to, że pomaganie jest nielegalne, że rozmowa o tym jest nielegalna, że zapomnimy już o tym, służby to załatwiają, a ludzie tam umierają – trudno tak musi być, a my musimy siedzieć cicho. Nagle się okazało, że nie siedzimy cicho – podkreślał.

– Ja się czuję jakbym był w hipomanii. Ten ostatni czas pokazał, że jesteśmy w tym razem, że bijemy brawo bohaterkom i bohaterom, że się martwimy o nich. Paradoksalnie przez to całe zło, które się tam [na granicy – red.] dzieje, rozmawiamy o dobru – dodał.

Bezsilność odbiera sprawczość

W dalszej części spotkania Marta Perchuć-Burzyńska wspomniała, że nieodłącznym elementem lektury *Jezus umarł w Polsce* jest poczucie wstydu. Zapytała Mikołaja Grynberga, czy jemu też towarzyszy to uczucie. – Nie, mi nie jest wstyd. Przy poprzednich książkach wiele razy słyszałem od czytelniczek i czytelników o tym, jak się wstydzą za to, co Polska dawniej robiła Żydom. A ja myślę, że branie tego wstydu na siebie jest toksyczne i nie posuwa sprawy naprzód. Więc nie wstydzę się za to, co się na granicy dzieje, bo to nie ja robię, chociaż jest to robione w moim imieniu. Przynosi mi to cierpienie, nie radzę sobie z tym, nie umiem przejść i udawać, że tam nie zabijamy ludzi w imię jakiegoś wymyślanego naszego dobra, które jeszcze do tego – wydaje mi się – jest źle zdefiniowane – powiedział pisarz.

– Cierpienie i bezsilność? – dopytywała prowadząca. – I wk*rw. To jest słowo, które traktuję jako cytaty, bo wiele moich bohaterów i bohaterki o nim mówią. Dzięki tej złości pomoc jest możliwa, bo bezsilność odbiera sprawczość, a wk*rw daje energię – odparł Grynberg. Jego zdaniem to właśnie „stąd ci ludzie, o których jest



Mikołaj Grynberg opowiada o książce *Jezus umarł w Polsce*. Fot. Michał Algebra

książka, znajdują się, aby brać odpowiedzialność za to, za co nasze państwo nie bierze odpowiedzialności”.

W kontekście poczucia wstydu gość Literackiego Sopotu odniósł się też do rozmów, które odbył z dwoma funkcjonariuszami Straży Granicznej. Pograniczników – co zaznaczył – trudno było do tego namówić, ale też trudno było z nimi te rozmowy przeprowadzić. – Siadając z nimi do stołu, trzeba było zamrozić kawałek siebie i odizolować od własnych emocji, żeby nie myśleć o tym, jak się ich nie szanuje, jak się ich nie rozumie, jak się ich nienawidzi. Tylko żeby się od nich dowiedzieć, dlaczego tak robią i co myślą – podkreślił. – Oni mieli pewne oczekiwania w stosunku do tej rozmowy. Myśleli, że pogadamy i ja ich zrozumieję, że przekonają mnie, dlaczego muszą wyrzucać kobiety, dzieci, mężczyzn, starych, młodych za druty, na pastwę strażników białoruskich – opowiedział Mikołaj Grynberg.

Pisarz zwrócił uwagę również na to, że strażnicy „mieli dobrą wolę”, bo nikt w ich środowisku nie umawia się na takie rozmowy – po prostu im nie wolno tego robić. – Razem z wydawnictwem wystaliśmy egzemplarz książki do ich centrali. Napisałem dedykację: „Z życzeniami satysfakcjonującej lektury”. Wiem, że to brzmi ironicznie, ale naprawdę liczę na to, że ktoś z nich – zanim wyrzucili tę książkę – ją przeczytał i dostał szansę zobaczenia drugiej strony. Tam nie ma propagandy, tam są najprostsze rzeczy: jak się ratuje ludzi, dlaczego to się robi, jaką płaci się za to cenę – mówił pisarz. – Nie wiem, czy przeczytali, nie odpisali.

Znalazłem się na wojnie

Mikołaj Grynberg mówił także o tym, dlaczego podjął się tak trudnego tematu. Jak wspomniał, pojechał na granicę na prośbę jednej z osób, które tam pomagały migrantom. – Słuchałem ich i nie mogłem uwierzyć, że trzy godziny drogi od mojego domu dzieją się takie rzeczy – wspominał. – Nie byłem przygotowany na to, co tam usłyszałem. Po prostu znalazłem się na wojnie – dodał i podkreślił, że po tej rozmowie – wracając do domu – poczuł, że chce napisać na ten temat książkę.

Ludzie, z którymi rozmawiał Grynberg, mówili, że „las ich wciągnął”, że w jakiś sposób uzależnili się od pomagania innym, że czerpią z tego satysfakcję. – Ale jest też druga część tego równania: mianowicie cena, jaką płacą. I ta cena jest bardzo wysoka, bo nikt z nas nieszkolonych do udzielania pomocy medycznej, do konfrontowania się ze śmiercią, nie jest przygotowany na

”

Nagle się okazało, że nie siedzimy cicho.

to, że łąduje w lesie i tam widzi osobę, która umiera. Temu komuś trzeba pomóc, ale nie wiadomo, jak to zrobić. To jest coś, co powoduje straszne zniszczenia w psychice, traumę. Część z nich dochodzi do takiego momentu w życiu, że wpływ tego strasznego wydarzenia dezorganizuje im życie i nie są w stanie funkcjonować normalnie – zauważył.

Poród w lesie

Pisarz zwrócił też uwagę na warunki, w których działają ochotnicy. – To nie jest ten las, do którego chodzimy zbierać kurki albo pobiegać. To las pierwotny, gdzie jest dużo zwalonych drzew. Oni mi mówili, że czasami kilometr idą pięć godzin, bo trzeba przejść przez wszystkie zwalone drzewa, z wielkim plecakiem, który przy pochyleniu zjeżdża do przodu i łądujesz twarzą w błocie czy śniegu – podkreślił. Jak dodał, przebywający w lesie ludzie nauczyli się m.in. pierwszej pomocy. – Ale tak na grubo. Odbywają się tam operacje medyczne, tam się podłącza kroplówki, składa otwarte złamania, odbiera porody, poronienia – powiedział.

Na końcu spotkania jedna ze słuchaczek zapytała Grynberga o samych migrantów, którzy trafiają na polsko-białoruską granicę. – Oni są zewsząd. Są z Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, z Sahelu, Kuby, Indii. Są takie okresy, kiedy przychodzą ludzie z jednego miejsca. To znaczy, że Łukaszenka wysłał tam samoloty i jego agencja turystyczna zadziałała. Łukaszenka tym zarządza, ale oni uciekają – gdyby nie udało się tamtędy, to by uciekali innymi szlakami. To najdroższy szlak, bo Białoruś zarabia potworne pieniądze na tych biednych ludziach. Oni są z miejsc, w których nie daje się żyć – stwierdził. Na koniec rozmowy brawa dostał nie tylko pisarz, ale i bohaterki i bohaterowie z granicy.

» [Spotkanie z Mikołajem Grynbergiem na PJM tłumaczyli Elżbieta Żurawska i Paweł Żurawski. Zapis spotkania w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air.](#)

Niemcy na rauszu

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Jak wyglądało życie zwykłych Niemców w okresie międzywojennym? Jacy byli obywatele Republiki Weimarskiej i co sprawiło, że w 1933 roku zaufali Hitlerowi, zmieniając tym samym los całej Europy?

Republika Weimarska to jeden z najciekawszych okresów w historii Niemiec. Narodziła się po I wojnie światowej i przez cały okres trwania rozpaliała intensywne emocje. Euforia po zakończeniu krwawego konfliktu została przyćmiona upokorzeniami, które niosła ze sobą klęska i traktat wersalski. Sytuacja w państwie ulegała ciągłym zmianom – nieoczekiwany dobrobyt zastąpiła ogromna inflacja. Zmieniały się wartości, tradycje, poglądy. Co odczuwali ludzie, którym przyszło żyć w tym burzliwym okresie? Odpowiedzi na to pytanie próbuje udzielić Harald Jähner, niemiecki pisarz i dziennikarz, w książce *Rausz. Niemcy między wojnami* (tłum. Monika Kilis, Wydawnictwo Poznańskie).

Zwykli ludzie

Przełomowe wydarzenia i decyzje zmieniające bieg historii łączy fakt, że zarówno jedne, jak i drugie zazwyczaj są podejmowane w dość wąskim gronie, gdy życie toczy się dalej nieświadome powagi chwili. Po I wojnie światowej obywatele nowo utworzonej Republiki Weimarskiej zachłysnęli się zdobytą wolnością i pokojem. Zaczęły się rozwijać nowe style w sztuce czy architekturze, porzucano skostniałe wartości i tradycje, odkrywano nowe przyjemności i promowano kult ciała. Życie odzyskało smak, choć niewątpliwie wszyscy czuli, że idylla może trwać krótko. Żyli więc intensywnie, tu i teraz.

Odzwierciedleniem przekonania ówczesnych Niemców była moda, popkultura i zmiana w podejściu do męskości i kobiecości. Patrząc na Republikę Weimarską z dzisiejszej perspektywy, szukamy przyczyn jej upadku, Jähner pokazuje nam jednak, że prawdziwy obraz życia w tamtym okresie może być uzyskany tylko w separacji od jej końca, bo ludzie żyjący w Republice Weimarskiej nie wiedzieli, jaki koniec ich czeka.

Harald Jähner w rozmowie z Agatą Passent. Fot. Bogna Kociumbas-Kos



Czas kobiet

Rola kobiety w społeczeństwie uległa zmianie już w trakcie I wojny światowej, gdy potrzeba było rąk do pracy. Nie powinno dziwić, że po wojnie kobiety, które udowodniły, że potrafią o siebie zadbać, nie chciały wracać do starych, przedwojennych zwyczajów. Emancypacja kobiet w okresie międzywojnia nabrała rozpędu. Coraz więcej kobiet przenosiło się do miast, zdobywało pracę w zawodzie urzędniczki i zaczynało korzystać z uroków życia dzięki posiadaniu własnych pieniędzy. Hiperinflacja panująca w Kraju sprawiała, że posagi przestawały być gwarantem dobrego zamążpójścia, co jednocześnie zmniejszało wpływ rodziny na życie kobiet. Kobiety poczuły się niezależne i zaczęły walczyć o swoje prawa.

Błędy dziennikarzy i lewicy

Okres międzywojenny w Niemczech był niewątpliwie czasem rozkwitu sztuki czy nauki, był też jednak okresem ogromnej inflacji, bezrobocia i niezadowolenia społecznego. Tylko czy masowe bezrobocie stanowiło wystarczający powód, by oddać głos na NSDAP? Co skłoniło Niemców do wyboru Hitlera?

Jähner stwierdza, że winą za powszechny brak zrozumienia sytuacji w państwie można obarczyć dziennikarzy. Dziennikarstwo w latach dwudziestych i trzydziestych również się rozwijało. Problemem był jednak brak obiektywizmu i rzetelności, ówczesne gazety były często powiązane z partiami politycznymi i przedstawiały tylko jeden punkt widzenia, przez co ludzie żyli w bańkach informacyjnych. Obywatele Republiki Weimarskiej nie wiedzieli tak naprawdę, o co toczy się spór w ich Kraju, nie rozumieli polityki i nie mogli znaleźć upragnionych odpowiedzi w prasie.

Szybki i powszechny wzrost poparcia nacjonalistycznych ugrupowań, a także duża popularność Hitlera spotykały się ze słabym oporem stronnictw lewicowych. Jednym z grzechów głównych lewicy było za małe oddanie (a także zrozumienie) demokracji. Z uroków demokracji potrafił skorzystać Hitler, który zrozumiał, że można ją pokonać demokratycznymi metodami.

» [Spotkanie z języka niemieckiego na polski przełożyli Agata Radtke i Marek Szalsza, a na PJM tłumaczyły Marta Jaroń i Magdalena Sipowicz. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.](#)

Na tropie Kryzysu wodnego

⇒ [Dominika Prais](#)

Festiwalowa rozmowa z Szymonem Opryskiem to mocne przypomnienie o Kryzysie Klimatycznym. Autor zabrał uczestników spotkania w podróż przez kontynenty do miejsc, gdzie problem niedoboru wody jest najbardziej dotkliwy. Przyczynkiem do dyskusji stała się jego książka reporterska *Woda. Historia pewnego porwania*.

Tytuł i konstrukcja książki Szymona Opryska zapowiadają udany kryminał. Autor przyznaje, że był to zabieg świadomy, mający na celu przebicie się do innych odbiorców, miłośników tego właśnie gatunku. Głównym tematem reportażu nie jest jednak tytułowe zaginięcie Raúla Hernándezza Romero – aktywisty klimatycznego i strażnika w sanktuarium motyli monarchicznych. Reporter podąża śladem światowego kryzysu wodnego, a trop wyznaczają mu motyle, które są klamrą tej opowieści.

Nowy język

Szymon Opryszek przyznaje, że najtrudniejszym zadaniem było dla niego poszukiwanie właściwego języka dla książki.

– Nie chciałem używać języka zachodniego, kapitalistycznego świata, który traktuje naturę jako bank, wobec którego mamy kredyt do spłacenia. Ludność rdzenna wykształciła inną relację z naturą. Człowiek nie zajmuje w niej pozycji nadrzędnej – natura obejmuje wszystko wokół i nas samych – wyjaśnia reporter. – Musimy znaleźć nowe narracje opowiadania o klimacie. Inaczej sobie nie poradzimy.

Narzędziem staje się metafora, której funkcję na wielu poziomach pełni w powieści motyle monarchiczne. To właśnie ten środek, a nie budzące grozę opowieści mają – zdaniem reportera – moc wpływania na odbiorców. Za jego pomocą Szymon Opryszek chce zwrócić uwagę, że katastrofa klimatyczna dotyka nie tylko kraje opisywane w reportażu, ale również Polskę.

Na tropie wody

Podczas spotkania autor przywołał przykład Meksyku, w którym kartele narkotykowe zarabiają na plantacjach awokado wysuszających ziemię. Poza tym do problemów z wodą w Ameryce Łacińskiej przyczyniają się też kopalnie, produkcja litu i plantacje soi. W Afryce z problemem suszy boryka się m.in. Maroko. Natomiast w Azji zagrożony jest choćby Irak, gdzie 70% zasobów wody kontroluje Iran i Turcja.

– Woda to temat polityczny i kapitalistyczny. Korporacje wykupują jałowe ziemie, pod którymi znajdują się warstwy wodonośne mogące mieć duże znaczenie w przyszłości – zauważa Opryszek. Jego zdaniem, to właśnie w stosunku do krwiożerczych kapitalistycznych firm jest potrzebna kluczowa zmiana, choć w dyskusji o kryzysie klimatycznym państwa chcą zrzucić winę na jednostki.

Opowieść o wykluczeniu

Nie oznacza to jednak, że ich działania nie mają wpływu na środowisko. – Dzisiaj to kobiety zmieniają świat – zauważa reporter. To one najbardziej są bowiem dotknięte przez kryzys wodny. – W 80% gospodarstw, które nie mają dostępu do wody, jej zdobyciem zajmują się kobiety, często ulegając przy tym przemocy. Nie mogą przez to pracować, a dziewczynki się kształcić. Zaczęły więc dbać o zasoby wodne – wyjaśnia Opryszek.

Reporter przyznaje, że *Woda. Historia pewnego porwania* to najbardziej osobista rzecz w jego życiu zawodowym. – 13 maja 2018 roku, Kiedy na świat miał przyjść mój syn, w Kapsztadzie ogłoszono Dzień Zero, czyli przerwanie dostaw wody w kranach. Zastanawiałem się, w jakim świecie będzie żył mój syn – wspomina.

Dzisiaj to, czego nauczył się dzięki reportażowi, stara się przekazywać synowi, aby kształtować w nim empatyczną postawę. – To jest książka o mnie i poszukiwaniu lepszego świata – podsumowuje.

» Na PJM tłumaczyły Marta Jaroń i Magdalena Sipowicz. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.

”

Musimy znaleźć nowe narracje opowiadania o klimacie. Inaczej sobie nie poradzimy.

Szymon Opryszek. Fot. Michał Algebra



Historie z pogranicza

⇒ Filip Fierek

W zbiorze reportaży z polsko-niemieckiego pogranicza Włodzimierz Nowak zawarł wiele uniwersalnych opowieści, które mimo upływu czasu nie uległy dezaktualizacji.

Tegoroczna edycja Literackiego Sopotu, poświęcona Niemcom, została pomyślana tak, by oprócz narracji prowadzonych z wewnątrz, to znaczy oprócz niemieckiej literatury, udostępnić przestrzeń także dla opowieści o przeciwnym wektorze – polskim głosem o niemieckim społeczeństwie i niemieckiej kulturze. Na tę część festiwalu składały się m.in. spotkania z Bernadettą Darską, autorką *Berlinowania*, oraz reporterem Włodzimierzem Nowakiem.

Rozmowa z Nowakiem, prowadzona przez Paulinę Małochleb, dotyczyła głośnego zbioru jego reportaży *Obwód głowy*, najpierw – w 2007 roku – opublikowanego nakładem Wydawnictwa Czarne, a po niespełna dziesięciu latach wznowionego z odautorskim apendyksem przez Dowody. W *Obwodzie głowy* reportera interesuje głównie pogranicze polsko-niemieckie ciągnące się wzdłuż Odry i Nysy.

Bohaterami tego zbioru są m.in. właściciele niedoszłego burdelu po polskiej stronie, który miał obsługiwać Niemców z okolicy, przemytnicy przeprowadzający migrantów i uchodźców przez graniczną rzekę czy wreszcie – i jest to reportaż najbardziej wstrząsający z całego tomu – mieszkańcy Wildenhagen, którzy w roku 1945 na wieść o zbliżającej się Armii Czerwonej zdecydowali się popełnić zbiorowe samobójstwo. Nowak w tych wszystkich tekstach wykazuje wielką dbałość o szczegól historyczny i zamiast osądzać, stara się przede wszystkim zrozumieć swoich rozmówców.

Najpierw trzeba się dowiedzieć

Pytany przez Paulinę Małochleb o źródła swojej fascynacji Niemcami, metodę pracy, a wręcz swoją prywatną filozofię reportaży, autor *Obwodu głowy* mówił, że „zanim wybaczymy lub zanim nie wybaczymy, musimy się dowiedzieć”. Wychodząc od tego ogólnego założenia, Nowak kreśli w swoich reportażach złożony, wielowymiarowy obraz Niemiec, Polski i interakcji między oboma społeczeństwami.

Istotny w tym kontekście jest także poruszony podczas spotkania temat recepcji książki w Niemczech (*Obwód głowy* doczekał się wydania za granicą pod zmienionym tytułem – jako *Noc w Wildenhagen*, przeł. Joanna Manc). Podczas wieczorów literackich zorganizowanych w niemieckich miastach reporter spotykał się z różnymi reakcjami publiczności – od szczerego zainteresowania tym, co Polak może mieć do powiedzenia Niemcom, po pobłażliwość i sprzeciw. Najbardziej zaskakujące okazały się jednak alternatywne odczytania jego tekstów zaproponowane przez niemieckich czytelników, które nawet jemu samemu nigdy wcześniej nie przyszły do głowy.

Uniwersalne odczytania

Obwód głowy zawiera teksty napisane w latach 1997–2006. Paulina Małochleb, odnosząc się do zaawansowanego wieku tych reportaży, zauważyła, że na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, iż dawno się już zdezaktualizowały. Tymczasem kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej sprawił – stwierdziła – że „zaktualizowały się na nowo”.

Istnieje jednak jeszcze jedno wytłumaczenie, dla czego *Obwód głowy* czyta się z takim samym zainteresowaniem jak 15 lat temu: nawet jeśli część poruszanych w tomie kwestii straciła już na znaczeniu, każdy tekst Nowaka daje ogólny wgląd w sytuację ludzi, którzy za sprawą historii znaleźli się w trudnym, a przynajmniej nieoczywistym położeniu.

» Na PJM tłumaczyli Elżbieta Żurawska i Paweł Żurawski. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.

”

Paulina Małochleb, odnosząc się do zaawansowanego wieku tych reportaży, zauważyła, że na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, iż dawno się już zdezaktualizowały. Tymczasem kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej sprawił – stwierdziła – że „zaktualizowały się na nowo”.

„Temat wymusza rodzaj literacki”. Szatrawska pisze prozą

⇒ [Dominika Prais](#)

Spotkanie wokół Toni Ishbel Szatrawskiej było o tyle wyjątkowe, że odbyło się na dwa tygodnie przed oficjalną premierą książki, która miała miejsce 4 września. W rozmowie z Michałem Nogasiem autorka opowiedziała m.in. dlaczego zdecydowała się na napisanie powieści i jak przebiegały prace nad nią.

Ishbel Szatrawska jest znana czytelnikom z kilku dramatów – wystarczy wspomnieć wielokrotnie nagrodzony tekst *Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia*. Co sprawiło, że tym razem postanowiła sięgnąć po prozę?

– Dramat jest moją wielką miłością i naturalną formą wypowiedzi. Ale to temat wymusza rodzaj literacki. W *Toni* chciałam poruszyć tak wiele wątków, iż uznałam, że w dramacie się nie zmieszczę. Taki tekst okazałby się straszną dłużyzną – wyjaśniała w rozmowie z Nogasiem. Jednocześnie przyznała się do obaw, bo bycie dramatopisarką piszącą prozę ma zarówno plusy, jak i minusy. – Jako dramatopisarka mamy dość dobrze opanowaną strukturę tekstu, potrafimy też napisać żywy dialog. Z kolei czymś nienaturalnym są dla nas opisy. Na etapie redakcji zauważałam, że w niektórych momentach fabuła nadmiernie pędzi, brakuje w niej opisu – oceniała Szatrawska.

Historia wielopokoleniowa

Autorka *Toni* opowiada w niej o dziejach kilku pokoleń rodziny związanej z miejscem jej pochodzenia – terenem dawnych Prus Wschodnich, gdzie od wieków mieszały się różne kultury i tożsamości: polska, mazurska, niemiecka, litewska. – Zależało mi na tym, aby nie tylko opisać losy ludności niemieckojęzycznej, ale też zmierzyć się z historią ludności napływowej – wyjaśniała Szatrawska.

I choć fabuła jej książki toczy się na tle wojny, skupia się przede wszystkim na życiu cywilów. Autorka dotyka w niej trudnych, często pomijanych w historycznym dyskursie tematów takich jak Krzywdy i przemoc na styku różnych kultur, ataki szabrowników

”

Nie mogę uciekać od tego, jaka była sytuacja cywili, więc temat przemocy seksualnej musiał się pojawić. Gdybym go pominęła, byłoby to nieuczciwe.

na Kurpiowszczyźnie, gwałty. – Nie mogę uciekać od tego, jaka była sytuacja cywili, więc temat przemocy seksualnej musiał się pojawić. Gdybym go pominęła, byłoby to nieuczciwe – tłumaczyła.

Między prawdą a fikcją

Losy bohaterów *Toni*, mimo że zakorzenione w realnym świecie, są fikcyjne. Pisarka zaczerpnęła jedynie kilka dialogów i sytuacji z doświadczeń prawdziwych postaci.

– Założyłam z góry, że nie chcę pisać autobiografii, wykorzystywać historii realnych osób. Nie interesuje mnie opowiadanie życia mojego, moich rodziców, dziadków, pradziadków. Myślę, że byłoby to nadużycie – tłumaczyła.

Na faktach opiera się natomiast warstwa historyczna. – Kładłam duży nacisk na research, czytanie książek historycznych, pamiętników. Staram się być najbliższa historii, jak to tylko możliwe – mówiła. W niektórych przypadkach pozwala sobie jednak na przesunięcia, jeśli tego wymaga fabuła książki. – W fikcji jest to jak najbardziej dopuszczalne. Pisarze nie powinni bać się takich zabiegów.

(Anty)saga (anty)rodzinna

Początek *Toni* wyznacza konflikt między ojcem a córką o sprzedaż domu po matce. Dzieje się to w czasie pandemii, ale akcja powieści cofa się o dekady, sięgając przeszłych pokoleń rodziny. Mowa w niej m.in. o upadku Königsberga pod koniec II wojny światowej. Z tego powodu książka została sklasyfikowana jako saga rodzinna. Jednak sama Ishbel Szatrawska określa ją raczej mianem antysagi antyrodzinnej. – Tu każdy zaczyna od zera – w nowej przestrzeni, z nową karierą – w jakiś sposób ucina swoje korzenie – wyjaśniała.

Autorce bliska jest również kategoria bajki magicznej („bo ta historia jest nieco filmowo-baśniowa”) i westernu. Trafnie tę ostatnią konotację wychwytuje Michał Nogaś, opisując sytuację bohaterów, którzy przybyli na tereny Mazur: musząc znaleźć sobie nowe miejsce do życia, zasiedli na wozy jak w westernie czy opowieści o zdobywaniu Dzikiego Zachodu. W ten sposób Ishbel Szatrawska swoją książką oddaje należną uwagę mieszkańcom dawnych Prus Wschodnich. Wyraźnie zarysowany wątek migracji sprawia jednak, że powieść zyskuje uniwersalny charakter.

» [Na PJM tłumaczyły Marta Jaroń i Kamila Skalska. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na Kanale Goyki 3 na YouTube.](#)

Sąsiedztwo – historia z przyszłością

⇒ [Klaudia Czaboryk](#)

Sąsiedztwo polsko-niemieckie często określane jest mianem trudnego. Jednej stronie zarzuca się przytłaczającą obojętność, drugiej niepotrzebne rozgrzebywanie ciągle niezagojonych ran.

O potrzebie wspólnego zrozumienia i poszanowania prawa innych do pamiętania historii na swój sposób rozmawiali goście debaty *Sąsiad czy wróg? Polacy i Niemcy we wzajemnym zwierciadle*.

W trakcie debaty zamykającej tegoroczną edycję festiwalu Literacki Sopot dyskutowali ze sobą wybitni specjaliści. Pokusiłam się o sformułowanie myśli przewodnich wspomnianej debaty: profesor Robert Traba podkreślił potrzebę poszanowania różnego spojrzenia na kwestie historyczne, doktor Susann Worschech zachęcała do zrozumienia, że Polaków i Niemców łączy więcej niż może się wydawać, a profesor Kornelia Ćwiklak pokazała, jaki wpływ ma literatura na wzajemne wyobrażenia.

Prof. Traba jest współautorem polsko-niemieckiego podręcznika do historii, który jest efektem dwunastoletniej pracy historyków z sąsiadujących krajów. Profesor podkreślił, że taki podręcznik jest potrzebny, ponieważ powinniśmy poruszać trudne tematy i szukać konsensusu. Relacje Polski z sąsiadami, nie tylko Niemcami, były raczej skomplikowane, co zaznaczyła prof. Ćwiklak. Niemniej jednak to Niemcy, zwłaszcza w okresie PRL-u, były demonizowane, powszechne było nawet zapisywanie słowa Niemiec z małej litery niezgodnie z polską ortografią. Wydana w 1995 roku książka *Nie będzie Niemiec Polakowi nigdy bratem?* pod redakcją Marka Zybury pokazała, że relacje polsko-niemieckie nie były zawsze tak złe, jak mówiła propaganda komunistyczna. Dlatego tak ważną rolę w budowaniu relacji opartych na zrozumieniu odgrywa kultura i literatura.

Co ciekawe, jak zauważyli paneliści, o ile w Polsce nasi zachodni sąsiedzi wzbudzali i wzbudzają ciągle emocje, o tyle Niemcy skupiają się bardziej na sobie i nie myślą za dużo o Polsce.

Doktor Worschech przyznała, że Niemcy muszą bardziej zainteresować się swoimi wschodnimi sąsiadami, aby móc lepiej zrozumieć samych siebie, bo oba kraje doświadczyły socjalizmu (Niemcy często zapominają, że część niemieckiego społeczeństwa jest postsocjalistyczna), a także wyrwały się z dyktatury. Bezsprzecznie łączy nas trudna historia, ale nie musi ona być powodem wrogości, można na jej fundamentach budować silne i korzystne relacje, które przysłużą się do rozkwitu demokracji i lepszej przyszłości zarówno Polski, jak i Niemiec.

» [Spotkanie z języka niemieckiego na polski przełożyli Agata Radtke i Marek Szalsza, a na PJM tłumaczyły Marta Jaroń i Magdalena Sipowicz. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na Kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na Kanale Goyki 3 na YouTube.](#)

Już się nie waham

O kryzysie relacji, niszczącej sile przemilczeń i dojrzewaniu do pisania Paulinie Frankiewicz opowiada szwedzka pisarka, aktorka i piosenkarka Nina Wähä.

Sierpniowy wieczór, taras z widokiem na morze, krzyżące mewy. Przy jednym ze stolików siedzi rodzina, która łączy się w wideorozmowie z bliską osobą i śpiewa jej „Sto lat”. Grzeje, wiatr przyjemnie smaga nasze ciała. Siadamy i my.

Paulina Frankiewicz: Twoje powieści stoją relacjami. Rodzinnymi, przyjacielskimi albo przyjaźń udającymi, przygodnymi. Jako ludzie konstytuujemy się w relacjach z innymi?

Nina Wähä: Zawsze jesteśmy w jakimś stosunku do innych. Nawet samotność powodowana jest uprzednią relacją. Jako ludzie jesteśmy dość stateczni. Przychodzimy na świat dzięki innym i w otoczeniu innych, jesteśmy, jacy jesteśmy, niechętnie się zmieniamy. Często trudno nam się ze sobą spotkać i porozumieć. Na szczęście literatura daje nam możliwość spojrzenia na świat, rzeczy, ludzi z odmiennej perspektywy, zupełnie innymi oczami.

W wydanej właśnie w Polsce *Babecie*, która na poziomie fabuły odśłania kulisy przemysłu filmowego, relacje to głównie interesowne i pozbawione szczerości transakcje. We wcześniejszym *Testamencie* kreślisz relacje rodzinne: szorstkie, duszne, oparte na niedopowiedzeniach.

– W obu powieściach piszę przede wszystkim o tym, że nie do końca potrafimy wchodzić w relacje, bo albo się boimy, albo tego nie chcemy, albo, jak w przypadku rodziny, czujemy, że więź nie do końca jest naszym wyborem, że na pewne relacje jesteśmy skazani. Interesuje mnie cisza wisząca między ludźmi i konflikty rodzące się z tego, że ludzie nie chcą, nie potrafią, nie mogą, nie odważają się mówić o tym, co myślą i co czują. Rozmowa wydaje się najprostszą i najtrudniejszą rzeczą pod słońcem.

Zastanawiam się, na ile jest to kwestia pokoleniowa.

– Coś w tym jest. Dziś młodzi ludzie są bardziej otwarci i łatwiej im poruszać tabuizowane wcześniej obszary. W dużej mierze jest to związane z traumą, jaką wnosimy do naszego życia i do naszych rodzin. Trauma jest dziedziczna – zarówno ta jednostkowa, jak i pokoleniowa. Taką generacyjną traumę wywołało doświadczenie II wojny światowej. Szwecja nie brała w niej udziału, więc tej traumy nie mamy, ale Finlandia, podobnie jak Polska, już tak. W *Testamencie* przyglądam się temu, jak pracuje trauma, z którą te starsze pokolenia nie potrafiły się rozprawić. Nie było ku temu narzędzi, jak chociażby tak dziś powszechna terapia, wymykała się normalizacji. A trauma nierozbrojona panoszy się bezczelnie i zatacza coraz szersze kręgi.

Przyglądając się krytycznie współczesności, nie sposób zignorować rosnącego zapośredniczenia naszych relacji. Moje i młodsze pokolenia wsiąknęły w media społecznościowe, coraz rzadziej odczuwając potrzebę bezpośredniego kontaktu z innymi, coraz rzadziej znajdując na innych czas. Doświadczenie pandemii dodatkowo te relacje pokiereszowało.



Nina Wähä w rozmowie z Aleksandrem Hudzikim. Fot. Bogna Kociumbas-Kos

– Dokładnie. Wyrzucamy z siebie rzeczy do sieci i obsesyjnie wypatrujemy reakcji. Zamiast ludźmi otaczamy się awatarami, ślizgając się po powierzchni. To nie są prawdziwe relacje.

Wspomniałaś, że nie chcesz, aby na polski przetłóżono dwie pierwsze powieści twojego autorstwa. Zapytam więc tylko, czy ich motywem również są relacje? I czy badanie relacji było dla ciebie zapalnikiem do pisania?

– W debiutanckiej *Som i syster* opowiadam o dwóch siostrach, których rodzice się rozwiedli i każde z nich wzięło sobie po jednej. Dorastając w zupełnie różnych domach, wiodły odmienne życia, co odcisnęło piętno na ich dorosłej relacji. Druga książka to powieść drogi – piszę w niej o moim ojcu pochodzącym z Bułgarii, o pokoleniu '68, które postanowiło szukać lepszego życia na Zachodzie. Tata umarł, kiedy byłam mała, więc nie zdążył opowiedzieć mi tej historii. *Titta inte bakåt!* jest fantazją o tym, jak jego podróż mogła wyglądać i jakie nadzieje były z nią związane. W drugiej części to także opowieść o moim pokoleniu dotkniętym poczuciem beznadziei, mimo obiektywnie lepszych warunków do życia. Napisałam ją także dla moich dzieci, jeszcze zbyt małych, by

”

Interesuje mnie cisza wisząca między ludźmi i konflikty rodzące się z tego, że ludzie nie chcą, nie potrafią, nie mogą, nie odważają się mówić o tym, co myślą i co czują.

dzisiaj wysłuchać tej opowieści. Dotąd o tym nie myślałam, ale tak, relacje – te wyabstrahowane i te będące moim udziałem – były i są zapalnikiem.

Chętnie przeczytałabym obie książki.

– Myślę, że opowiem o nich lepiej, niż zostały przeze mnie, lata temu, napisane. Do pisania musiałam dorosnąć. Ale już się nie waham.

Nie kryjesz autobiograficznych wątków swojej twórczości. A kreacja postaci? To wynik twoich obserwacji? Czy, wykorzystując doświadczenie aktorskie, traktujesz to jak wchodzenie w rolę albo punkt wyjścia dla refleksji, jak sama zachowałabyś się w danej sytuacji?

– Kiedy piszę, mam wrażenie, że wypuszczam z siebie jeden wielki strumień świadomości, nad którym staram się zapanować, faktycznie wykorzystywać moje (niewielkie) doświadczenie aktorskie. Wymyślam postaci, wchodzę w nią, mówię jej głosem, zakładam jej kostium. Myślę, że te dwa zajęcia – pisarstwo i aktorstwo – są bardzo do siebie podobne.

W obu mediach – literaturze i filmie – chodzi o opowieść. Jako czytelniczka dostaję od ciebie pogłębione portrety psychologiczne postaci, z którymi czasem empatyzuję, czasem wkurzam się na nie albo im współczuję. W tych opowieściach jest prawda.

– To dla mnie słowo klucz, które często powraca w moich książkach. Uderzyło mnie kiedyś, że z siostrą mamy zupełnie różne wspomnienia z naszego wspólnego dzieciństwa. Pytanie narzuciło się samo: czy któraś z nas kłamie? W *Testamencie* powołałam do istnienia dużą grupę rodzeństwa, z której każda i każdy ma swoją prawdę i swoje wspomnienia, mimo mieszkania przez lata pod jednym dachem. Wracając do rodzinnego domu, muszą skonfrontować się z wielością tych prawd, z własną przeszłością po to, by uzdrowić relacje albo dokonać świadomego ich zerwania.

Podobnych metarefleksji jest u ciebie dużo. Zadajesz pytania o to, czym są prawda, szczerść, twórczość, piękno. Zawsze w bezpretensjonalny i lekki sposób, jakby mimochodem wpuszczając do powieści refleksje o naturze ludzkiej. Tego szukasz w literaturze i filmie?

Żyjemy pod różną szerokością geograficzną, ale te najbardziej fundamentalne potrzeby, pragnienia, oczekiwania mamy wspólne. Kultura i sztuka pozwalają uwydatnić nasze podobieństwa przy zachowaniu

indywidualizmu i różnorodności. W swoich książkach badam, choć niezobowiązująco, różne teorie i pozwalam moim bohaterom kluczyć, stawiać tezy i zastanawiać się, czym są najbardziej frapujące rzeczy, wartości, doznania. Te pytania i poszukiwania uznaję za ważniejsze od samych odpowiedzi.

Innym wielkim tematem twojej prozy jest patriarchy. Widać to szczególnie w najnowszej powieści, której akcja dzieje się już po wybuchu ruchu #metoo. Ten wątek silnie wybrzmiewa w powieści, bo czy da się dziś pisać, grać, tworzyć kulturę szwedzką z pominięciem tego doświadczenia?

– Miałam potrzebę, ale też poczucie obowiązku opowiedzenia się w tej sprawie. #metoo był detoksem dla branży, a w szerszym planie dla kobiet na całym świecie, niezależnie od wykonywanego zawodu. Powiedziałyśmy stop po to, żeby wyczyścić pole i zatroszczyć się o siebie nawzajem. W świecie filmu wiele rzeczy się zmieniło, wiele osób usłyszało zarzuty. Dziś dobrze widać, ile znaczy siła kobiet. Aktorki weszły w rolę producentek, odważyły się zostać twórczyniami opowieści. Decydować o tym, co i jak jest opowiadane. Zrozumiłyśmy, że po skończeniu 35 lat możemy grać również inne role niż uziemionych w domu mamusi. Zrozumiłyśmy, że możemy wziąć sprawy w swoje ręce i decydować.

Bohaterkami *Babetty* są dwie świadome siebie i własnej wartości feministki. Tym smutniejszy jest kryzys siostrzeństwa zachodzący w ich relacji. Świetnie pokazujesz, że mimo feministycznego przebudzenia i wzniosłych haseł na transparentach rywalizacja, walka i zawziętość między kobietami mają się dobrze.

– Piszę o tym, bo mnie też bardzo to boli. Zmiany muszą zadziać się także w nas. Opresja nie przychodzi jedynie ze strony mężczyzn, patriarchy zaburzył też więzi między kobietami. Kiedy zaczynałam pisać *Babettę*, myślałam, że historia tych dziewczyn potoczy się zupełnie inaczej. Niespodziewanie to nie spełniona zawodowo gwiazda filmowa, ale żyjąca w jej cieniu przyjaciółka przejęła głos i na własnych warunkach opowiedziała tę historię. Teraz zabieram się za pisanie powieści o mężczyznach. Wychodzę od obserwowanego przeze mnie problemu z wyrażaniem uczuć, ale jestem bardzo ciekawa, dokąd mnie to zaprowadzi.

Pisanie jest dla Ciebie drogą do wolności?

– To przymus, zadanie, praca, ale też przejaw odwagi do podzielenia się swoją opowieścią z innymi. Jeśli tak można zdefiniować wolność, idę po nią.

Rozmowę tłumaczyła Agata Radtke.

Sopot, 17 sierpnia 2023

» Nina Wähä, *Babetta*, wyd. Wydawnictwo Poznańskie; przeł. Justyna Kwiatkowska. Spotkanie z języka szwedzkiego na polski przełożyły Agata Radtke i Małgorzata Grabarczyk, a na PJM tłumaczyli Elżbieta Żurawska i Paweł Żurawski. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.

Jak patrzeć, żeby dostrzec człowieka?

⇒ Julia Kapąta

Debata Odzyskać oddech i wzrok rozpoczęła się nawiązaniem do zabójstwa George'a Floyda. Był to punkt wyjścia do rozmowy o rasizmie i antysemityzmie, pogodzeniu się ze swoją historią oraz o tym, co zrobić, aby się nie powtórzyło.

Zdefiniujmy rasizm i antysemityzm

W wypełnionej po brzegi Państwowej Galerii Sztuki w dyskusji prowadzonej przez prof. Monikę Płatek wzięli udział prof. Michał Bilewicz z Centrum Badań nad Uprzedzeniami, Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, Agnieszka Jabłońska z wrocławskiej Fundacji Urban Memory oraz prof. Andreas Zick, dyrektor Interdyscyplinarnego Instytutu Badania Konfliktu i Przemocy Universität Bielefeld.

– Nadmierna reakcja na lęk jest jedną ze składowych rasizmu – tłumaczył prof. Bilewicz. Dodał, że policjant przygotowujący się do oddania strzału często ulega nadmiernej reakcji na lęk, antycypując, że zaraz to w jego stronę zostanie oddany strzał. Na podstawie przytoczonych badań naukowych mówił, że niechęć do uchodźców często wynika z najbardziej pospolitych stereotypów o czarnoskórych, czyli biologicznego rasizmu, który zakłada wyższość jednej rasy nad drugą.

A jak jest z antysemityzmem? – Rasizm zakłada pogardę wobec określonej grupy etnicznej i przekonanie, że jej przedstawiciele są od nas gorsi, antysemityzm natomiast opiera się raczej na zawistnych stereotypach – mówił Bilewicz. Prof. Zick zauważył, że wszystkie rasizmy mają wspólne jądro, ale antysemityzm ma bardzo długą historię i ta ideologia różni się od rasizmu.

W dyskusji pojawił się również ważny temat dehumanizacji. Prof. Bilewicz powoływał się na badania przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych, w których respondentom pokazano obrazek ukazujący pochodzenie człowieka. Na jego podstawie zadawano pytanie o to, gdzie na skali znajdują się ich zdaniem imigranci z Meksyku. Okazało się, że większość badanych odpowiedziała, że nie są to tacy sami ludzie jak oni. – W Polsce podobnie postrzega się Żydów, a Romów w Czechach

i na Węgrzech – dodał. Paneliści przyznali również, że dehumanizacja jest tym większa, im większa jest asymetria władzy, oraz tam, gdzie powstają kategorie grupowe, a jedna grupa znajduje środki do tego, aby pogardzić drugą.

Żyd jako odmienny gatunek człowieka

– Historyczna analiza tekstów z okresu dwudziestolecia międzywojennego pozwala zauważyć, że nawet filosemici, którzy podczas okupacji ratowali Żydów, postrzegali ich jako swoiście odmienny gatunek człowieka – mówił Bilewicz. Przywołał też nieobecność władz państwowych na obchodach rocznicy powstania w getcie białostockim. Decydenci, jak stwierdził badacz, 60 tys. ofiar nadal nie do końca postrzegają jako polskich obywateli. Według Bilewicza problemem jest to, że Żydzi nadal nie są uważani za część polskiego społeczeństwa, za ludzi, którzy tworzyli polskie dziedzictwo. Jego zdaniem edukacja, która polega na przypisywaniu sobie kolektywnej winy nie zdała egzaminu, a to na czym powinniśmy się skupić, to inkluzja Żydów do naszej narodowej świadomości. Zdaniem Bilewicza zmiana w postrzeganiu miejsca Żydów w naszej pamięci pozytywnie zmieniłaby dynamikę na osi Żydzi-Polacy.

Doświadczenie kolonizatorskie a polityka pamięci

W dyskusji pojawił się również temat polityki kolonizacyjnej, wspomnianej już kolektywnej winy oraz dojrzałości społecznej i jej wpływu na budowanie demokracji. Jak powiedział prof. Andreas Zick, trzeba zrozumieć, że my też jesteśmy kolonizatorami, nie jesteśmy tylko ofiarami, ale też katami. Dodał, że w Niemczech na podstawie badań Interdyscyplinarnego Instytutu Badania Konfliktu i Przemocy zauważono, że wiele rzeczy załatwia się poprzez zapomnienie – również przeszłości kolonialnej.

– W jaki sposób buduje się dojrzałość? – z tym pytaniem prof. Płatek zwróciła się do Agnieszki Jabłońskiej, która stwierdziła, że najważniejsza jest dyskusja. Jej organizacja zajmuje się dziedzictwem żydowskim, które jest wykluczone, zapomniane, i tutaj znowu pojawia się motyw „odzyskiwania wzroku”. We Wrocławiu mieszkańcy zaczęli na nowo widzieć pewne miejsca, takie jak np. zlikwidowany cmentarz żydowski. Praca aktywistyczna polega na tym, żeby w terenie badać to, co się dzieje, i odblokować działania wśród społeczności na poziomie lokalnym. – Sama edukacja nie wystarczy – dodała.

O rasizmie i antysemityzmie rozmawiają Monika Płatek, Andreas Zick, Michał Bilewicz i Agnieszka Jabłońska. Fot. Bogna Kociumbas-Kos



”

Prof. Zick zauważył, że wszystkie rasizmy mają wspólne jądro, ale antysemityzm ma bardzo długą historię i ta ideologia różni się od rasizmu.

Zrozumieć siebie nawzajem

– Żyjemy w społeczeństwie, w którym ciężko przyznać się do tego, że dziadek był Żydem – mówiła prowadząca. Nawiązując do kolektywnej, polskiej awersji do wsi, widocznej też na poziomie języka („nie rób mi tu wiochy”) oraz zamiłowania do szukania błękitnej krwi, pytała o to, w jaki sposób wnioski płynące z badań naukowych przełożyły się na działania polityczne, mające na celu wykończenie procesów szkodliwych zarówno na poziomie jednostki, jak i społecznie.

Prof. Bilewicz przyznał, że „nauka poszła w las”. – Psychologowie mówią w takim przypadku o mentalnej deprowincjalizacji, która zakłada zmianę sposobu myślenia i zrozumienie, że bycie Polakiem znaczy bardzo wiele rzeczy. Nie wszyscy jesteśmy potomkami szlachty, królów i rycerzy.

Pojawiła się sugestia, że warto zacząć taką naukę na szczeblu lokalnym i zadać sobie pytanie o to, skąd się wzięliśmy, co oznacza np. polska architektura, która jest różna w różnych częściach kraju. – Jest to bez wątpienia istotne, ale, żeby móc je zadawać, jest potrzebna odpowiednia przestrzeń, taka jak np. Ministerstwo Edukacji, które słucha naukowców – dodał Bilewicz.

W ostatniej części debaty pojawiło się stwierdzenie, że homogeniczne społeczeństwa są zdecydowanie bardziej skłonne do zachowań rasistowskich. Zdaniem wszystkich panelistów magia kontaktu, sieciowanie się i rozmowa z drugim, „innym” człowiekiem mają ogromną moc. Truizmem jest, że boimy się tego, czego nie znamy, czego dowodem była reakcja polskiego społeczeństwa na kryzys na granicy polsko-białoruskiej. Zgoła inaczej było w przypadku Ukraińców, których po 2014 było w Polsce sporo i którym Polacy otworzyli swoje domy po wybuchu wojny. – W Polsce mamy coraz więcej heterogeniczności na ulicach i będzie dużo trudniej straszyć tymi ludźmi, którzy są wśród nas – stwierdził profesor Bilewicz. – Posiadamy wiedzę, lecz nie możemy liczyć na polityków – podsumowała Monika Płatek. – To przenosi odpowiedzialność na nas wszystkich.

» Na PIM tłumaczyła Kamila Skalska. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz w formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube

Bernadetta Darska: pamięć o Murze jest kolektywna i inkluzywna

⇒ Rozmawiała Julia Kapała

Berlin nie szantażuje pamięcią – mówi Bernadetta Darska, autorka książki *Berlinowanie. Zapiski z doświadczenia miasta. Wykładowczyni, literaturoznawczyni oraz krytyczka literacka, pracująca na co dzień na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, w Berlinowaniu pokazuje niemiecką stolicę przez pryzmat Muru Berlińskiego i pamięci o nim.*

Julia Kapała: Na spotkaniu powiedziała pani, że daje sobie prawo do tego, żeby pamięć o Murze Berlińskim stała się również pani pamięcią. Jak doszło do tej transformacji?

Bernadetta Darska: Berlin zawsze wydawał mi się interesującym miastem, ale na początku nie wzbudzał we mnie szczególnych emocji. Dzięki zagłębieniu się w pamięć o Murze Berlińskim okazało się, że znalazłam drogę do tego, żeby uznać to miasto za swoje. Taką drogę może znaleźć każdy, jeśli tylko zechce, i może to zrobić na własnych zasadach. Dla mnie był to Mur Berliński. Okazało się, że to doświadczenie bardzo mocno we mnie rezonuje. Zaczęłam pojawiać się w wielu miejscach, w których Mur został upamiętniony, na przykład na Bernauer Strasse, ulicy, która w całości jest jednym wielkim miejscem pamięci z tabliczkami opisującymi próby ucieczek do Berlina Zachodniego czy śladami po tunelach ucieczkowych. Zaczęłam obsesyjnie tam wracać i za każdym razem widziałam coś innego. To miejsce okazało się żywe i przemawiające. Ta kontemplacja Muru doprowadziła mnie do konstatacji, że to jest moje miasto. Zadałam sobie jednocześnie pytania, czy skoro nigdy nie widziałam Muru na własne oczy wtedy, kiedy dzielił miasto, nie mieszkam w Berlinie na stałe, posługuję się innym językiem, to czy to jest również moja pamięć. Doszłam do wniosku, że ta berlińska pamięć o Murze jest pamięcią kolektywną i inkluzywną. Jeśli więc stanie się częścią mojej pamięci, to nie oznacza, że odbieram komuś cokolwiek, ale pozwalam poszerzyć to wspólnotowe doświadczenie. Okazuje się, że traumatyczne i trudne przeżycia mogą również oddziaływać na tych, którzy nigdy nie byli ich częścią.

Jak postrzegają pani Berlin, zanim zaczął wzbudzać w pani te szczególne emocje?

– Było to dla mnie miasto na pewno ciekawe, ale moje pierwsze wizyty w Berlinie nie zwiastowały tego, że stanie się dla mnie miastem szczególnym. Teraz nie czuję się tam jak turystka, tylko jak ktoś, kto przyjeżdża do swojego miasta, które jest częścią mojej biografii, i myślę, że taki stan czasami się pojawia w relacji z jakimiś miejscami. Ja celebрую to w mojej relacji z Berlinem i cały czas odkrywam w nim coś nowego. To jest takie miasto, w którym

ilość punktów odniesienia czyni je swoistą przygodą na całe życie.

Dlaczego Berlin od zawsze przyciągał outsiderów i buntowników, którzy szukają wolności?

– Berlin jest miastem, które doświadczyło wiele złego. Z jednej strony czas nazizmu, a z drugiej to, co było zaraz po wojnie, czyli poczucie skończonego świata. Jedni czuli się winni, a drudzy uważali, że to jeszcze nie koniec. Potem nastąpiła budowa Muru Berlińskiego, co złamało ludziom życie na wiele lat.

To miasto zostało dotkliwie naznaczone, a z drugiej strony pozostało miastem otwartym. Być może to kontynuacja tego wszystkiego, co działo się w czasie Republiki Weimarskiej. Powstało wtedy miasto wolności, otwartości, poszukiwań kulturowych i obyczajowych, eksperymentowania w życiu intymnym, miało to charakter w pewnym sensie formacyjny i obecnie jest też częstym punktem odniesienia. Tej berlińskiej wolności zawsze towarzyszy jednak jakiś kontekst ideowy – widać to chociażby w ruchu squatowym, co jest bardzo namacalne i wyraźnie obrazuje, jak istotną częścią berlińskiej tożsamości jest poczucie wolności.

Czego moglibyśmy nauczyć się od „pamiętania” w berlińskim stylu? I jak to porównać do naszej polskiej pamięci?

– Trudno to porównać. U nas dyskusja o pamięci historycznej jest nasycona ideologią i myśleniem rewizjonistycznym, w którym nie ma miejsca na refleksję, że historia nigdy nie jest czarno-biała. Widać to chociażby w podejściu do biografii komunistów. To były często bardzo skomplikowane życiorysy, a ten czas był niejednoznaczny i nieoczywisty. Dzisiejszy paradoks polega na tym, że często ci politycy, którzy nawet nie żyli w tamtych czasach, dokonują bardzo łatwych ocen. W Berlinie nikt nie postuluje, żeby wygumkować z pamięci na przykład Karola Marksa, a aleja jego imienia funkcjonuje jako swego rodzaju atrakcja. Berlin bardzo mądrze wykorzystuje przestrzeń miejską do opowiadania swojej historii. Widać to na przykład na stacjach metra, gdzie często znajdują się wielkoformatowe zdjęcia, będące nienachalną i mądrą lekcją historii. Też zaskakującą. Podczas mojej ostatniej wizyty w lutym przy stacji metra przy Bramie Brandenburskiej zauważyłam zdjęcie, dzięki któremu dowiedziałam się, że zaraz po wojnie w tym miejscu uprawiano ziemniaki. Dziś to może wydawać się szokujące. Podobnie jest w kawiarni Cafe Sibylle na Karl-Marx-Allee, gdzie znajduje się wystawa opowiadająca o powstawaniu tej alei, a jedną z atrakcji lokalu jest replika ucha Stalina, które ostało się po zniszczeniu jego pomnika. Pomniki Marksa i Engelsa nadal stoją w Berlinie. Najważniejsza w tym wszystkim jest rozmowa. Polacy nie do końca potrafią rozmawiać o nieodległej przeszłości PRL-u, natomiast Niemcy podejmują takie próby. Tam też nie wszystkie problemy zostały rozwiązane, jak chociażby dysproporcje ekonomiczne pomiędzy dawnymi RFN i NRD, jednak mimo wszystko przeszłości nie ocenia się w kategoriach czarno-białych.

Jaki byłby Berlin, gdyby Mur nie powstał, a miasto i kraj nie zostały podzielone na wschodnie i zachodnie?

– Zdecydowanie byłoby mniej złamanych życiorysów. Mur dokonał podziału politycznego, ale co równie istotne, podzielił ludzi. Zdjęcia mieszkańców trzymających nowo narodzone dziecko i pokazujących je krewnym po

drugiej stronie wywołują ogromne wzruszenie. Rozdzielone rodziny, pragnienie wolności, determinacja do ucieczek, tunele ucieczkowe – to było ogromne ryzyko, bo wiązało się i z aresztowaniem, i z realnym zagrożeniem życia w trakcie przemieszczania się pod ziemią. Z drugiej strony można powiedzieć, że to niechciane doświadczenie ukształtowało charakter tego miasta. Mówienie czegoś takiego brzmi trochę cynicznie, ponieważ każdy wolałby wyrzec się takiego doświadczenia, ale z drugiej strony to był ogromny test człowieczeństwa i ludzkiej solidarności, podczas którego ludzie pokazywali swoje prawdziwe oblicze. Zaskakiwali, okazywali odwagę bądź wręcz przeciwnie. Pytanie o zło z perspektywy tego, kto je czyni, też jest istotne. Historia mogłaby zadawać takie pytania, a nie zadaje. My uczymy się tylko suchych faktów. W czasie trwania wojny informacje i dane są niezwykle ważne, ale tak naprawdę ludzie myślą o tym, żeby przeżyć, żeby skończyło się bombardowanie, żeby można było wrócić do normalnego życia. Kluczowym elementem historii o wojnie są właśnie opowieści o ludziach i ich postępowaniu. Myślę, że gdybyśmy więcej o tym rozmawiali, to nasza wrażliwość na teraźniejszość byłaby większa, byłibyśmy bardziej wyczuleni na to, aby dostrzegać zło i dusić je w zarodku.

Czy widzi pani podobieństwa do tego, w jaki sposób Berlin rozlicza się ze swoją nazistowską historią, a historią związaną z okresem zimnej wojny? Czy jest to równie mocno wyczuwalne w przestrzeni miejskiej?

– Nie jestem pewna, czy można te dwa doświadczenia porównać. Odnoszę jednak wrażenie, że Niemcy, w odróżnieniu chociażby od Austriaków, wykonali ogromną pracę, żeby nazizm stał się przedmiotem nauki w szkołach, nad złem, które należy piętnować. Symptomatyczne jest również to, że miasto poświęciło tak ogromną przestrzeń na pomnik ofiar Holocaustu przy Bramie Brandenburskiej. Na pewno Muzeum Topografii Terroru jest bardzo znaczącym punktem na mapie Berlina. Znajduje się tam też całkiem spory kawałek Muru. Powstało na miejscu dawnej siedziby Gestapo, która została wyburzona, a tam, gdzie się znajdowała, wysypane są zajmujące dużą przestrzeń kamienie. Robi to piorunujące wrażenie. Wzdłuż tego fragmentu Muru często odbywają się wystawy. Kiedyś miałam okazję obejrzeć jedną z nich, której tematem była zniszczona Warszawa.

Powiedziała pani, że Berlin jest dla pani rodzajem zobowiązania i uzależnienia. Co pani przez to rozumie?

– Moja relacja z Berlinem jest bardzo emocjonalna, a moje berlinowanie to znacznie więcej niż zwykłe zainteresowanie tematem. Mówiąc o zobowiązaniu, miałam na myśli to, że jest to temat, o którym należy mówić. Ludzie, którzy żyli w cieniu Muru, zasługują na to, żeby pamiętać o ich

historii. Ofiary Muru często były bezimienne. Zdarzało się, że odmawiano rodzinom informacji o tym, co stało się z ich bliskimi podczas próby ucieczki. To były dramaty związane z odebraniem prawa do wiedzy o tym, jak skończyło się czyjeś życie, co jest jednym z okrutniejszych działań w kontekście pamięci o człowieku. Mówię o tych, którzy są znanymi ofiarami Muru, ale to jest też często opowieść o tych, których historii nie znamy i nigdy nie poznamy. O ludziach, którzy przeżyli tamten okres i nigdy nie powiedzą nikomu, co im się przytrafiło, a ich życie było zdefiniowane przez Mur i przez to coś im odebrano.

Jak berlińską pamięć widzą młodzi i jak będzie ona postrzegana za kilka lat?

– Wydaje mi się, że kiedy jesteśmy bardzo młodzi, to nie zawsze interesują nas takie tematy. Myślę, że to normalne. Jednak na późniejszym etapie może ona nas zainteresować. Podobnie jest z mówieniem, że starsze

pokolenia sięgali za broń w obronie ojczyzny, a ta dzisiejsza młodzież pewnie by tego nie zrobiła. Dziwne jest komentowanie tego z dzisiejszej perspektywy, bo gdyby faktycznie doszło do takiej sytuacji, to ludzie pewnie zachowywaliby się tak jak od zarania dziejów – część wykazałaby się postawą bohaterską, inni okazaliby się tchórzami, a jeszcze inni tchórzami, którzy niespodziewanie stali się bohaterami. Zawsze możemy powiedzieć tylko tyle, jakbyśmy chcieli się w danej sytuacji zachować. Tego, jak się zachowamy, dowiemy się dopiero wtedy, kiedy chwila próby nam się przydarzy. Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli się tego dowiedzieć.

» Na PJM tłumaczyła Kamila Skalska. Spotkanie dostępne jest w formie podcastu na kanale Spotify Goyki 3 On Air oraz formie wideo na kanale Goyki 3 na YouTube.

Bernadetta Darska podczas rozmowy z Marcinem Wilkiem. Fot. Michał Algebra



Redaktor naczelna: Małgorzata Muraszko

Zespół redakcyjny: Magdalena Bojanowska, Klaudia Czaboryk, Filip Fierek, Paulina Frankiewicz, Julia Kapała, Dominika Prais

Korekta: Agnieszka Kochanowska

Projekt graficzny i skład: Anita Wasik

Napisz do nas: redakcja@literackisopot.pl

Wszystkie materiały objęte są prawem autorskim. Przedruk lub kopiowanie całości lub fragmentów materiałów możliwy jest wyłącznie za wcześniejszą pisemną zgodą wydawcy – Goyki 3 Art Inkubatora.



Dofinansowano z budżetu Miasta Sopotu

